Rok I. Lwów, piątek 14. czerwca 1907. Nr. 122.

1 cent — GONIEC POLSKI — 2 hal.

Wychodzi codziennie o godz. 2 popoł.

REDAKTOROWIE: ST. TOKARSKI i ST. BRANDOWSKI.

PRENUMERATA:

WE LWOWIE: miesięcznie . . . . . 50 h; „ z dostawą do domu 1 K; numer pojedynczy . . 2 h

NA PROWINCYI: mies. z przes. poczt. . 1 K; kwartalnie . . . . . . 3 K; numer pojedynczy . . 4 h

NR. TELEFONU REDAKCYI: 982. NR. TELEFONU ADMINISTRACYI: 977.

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za jednoszpaltowy wiersz petitem. ◆ Redakcya: Lwów, Podwale 7. Administr.: Lwów, Krzywa 6. ◆ Drobne ogłoszenia po 4 h od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 h.

Co dzień niesie?

Pan Daszyński, niefortunny orędownik powszechnego prawa głosowania i jeszcze niefortunniejszy kandydat do parlamentu, wyszczekał w socyalistycznej *Arbeiter Zeitung* czteroszpaltowy artykuł na temat korrupcyi wyborczej w Galicyi. Kulminacyjną brechnią tego artykułu jest twierdzenie, że namiestnik wyasygnował na wybory aż — dwa miliony koron!

Eks-Daszyński jest pierwszy, który w to niewierzy. Redaktorowie *Arbeiter-Zeitung* też się w duszy śmieją z tego twierdzenia. Ale z tem wszystkiem dobrze jest, takie oszczerstwo puścić w kurs. Niech tylko co dwudziesty Niemiec w nie uwierzy, a powie sobie: niedziw, że dwoma milionami ubito Daszyńskiego!

Szkoda rzeczywiście, że te miliony wyborcze zrodziły się tylko w chorym mózgu wodza robotników, któremu łeb posiwiał od różnych namiętności politycznych i niepolitycznych, a równocześnie trzeźwy rozum kurczy mu się jak skóra na słońcu. Gdyby bodaj pół miliona było do dyspozycyi na wybory, to taki Diamand, Hudec albo Breiter ani po kilkaset głosów nieotrzymaliby przy wyborach. Takim kapitałem dałoby się kupić wszystkich wodzów galicyjskiego socyalizmu wraz z ich wyborcami.

Desperackie łgarstwa pana Daszyńskiego łatwo zrozumieć i wytłómaczyć. Przed forum parlamentarnem trzeba własny upadek czemś usprawiedliwić. Tłómaczy więc pan Daszyński, że nie o byleco się potknął, bo aż o dwa miliony koron. Rozumie się, że na takiej kupie pieniędzy łatwo nogę wywichnąć.

Gdy stary parlament zamykano, pan Daszyński wbrew socyalistycznemu zwyczajowi był na pożegnalnem przyjęciu u prezydenta ministrów bar. Becka. Powiadano wtedy, pół seryo a pół żartem, że chciał oglądnąć apartamenta, w jakich niebawem urzędować się spodziewał. Tymczasem zamiast wdziać na głowę piróg ministeryalny, wydziera sobie włosy z głowy. Wierzymy, że taka odmiana fortuny i taki zawód w rachubie bardzo boleć muszą, że nawet zemdleć i gwałtownych spazmów dostać można.

U nas i na świecie.

O prezydenturę w Izbie poselskiej ubiega się aż trzech kandydatów z jednego stronnictwa a mianowicie chrześcijańsko-społecznego. Do dr. Ebenhoha i Weisskirchnera przybywa obecnie

dr. Pattai,

który onegdaj niedwuznacznie przypomniał na posiedzeniu stronnictwa, że swego czasu wysuwano go na stanowisko prezydenta Izby.

Kwestya więc kandydatury tej może w łonie stronnictwa chrześcijańsko-społecznego spowodować poważne trudności.

Natomiast z Pragi donoszą, że nie mą najmniejszej obawy, ażeby polityka czeska

Najgrubszy narzeczony.



zboczyła z kierunku narodowego. Raczej spodziewać się należy, że nawet

socyaliści czescy

nie poddadzą się komendzie socyalistów wiedeńskich i że polityka kompromisów bezpowrotnie minęła. Że silne,

na gruncie narodowym

oparte stanowisko wszystkich posłów czeskich wywrzeć może niepośledni wpływ na ogólny bieg polityki austryackiej, nie ulegać zdaje się wątpliwości. W walce wewnętrznej z Niemcami czeski naród prędko dojrzał, skrystalizował się w sobie i dzisiaj, rozumiejąc, w czem jego siła i przyszłość, odrzucił walki partyjne tam, gdzie rozchodzi się o dobro Ojczyzny — o Czechy, i wie czego pragnąć i dokąd dążyć mu wypada! A u nas? Jakże u nas inaczej — stokroć inaczej!

Zaślepienie, próżność, krótkowidztwo, podały sobie ręce w pochodzie tryumfalnym przez kraj,

interesa partyjne

mają pierwszeństwo przed narodowymi — dobro jednostek wyprzedza dobro całego narodu.

Za mało jeszcze naigrywań wrogów — nie bolą bardzo cięgi zadane ręką socyalistów, syonistów i hajdamaków; więc dlaczegoż nie warcholić się dalej — kiedy jeszcze ciało krwią nie ocieka i nie wyparto nas z odwiecznych siedzib naszych za San — nie zrabowano nam wszystkich naszych świętości i ideałów — nie rozbito w puch polskiej rodziny.

Mamy czas jeszcze! Więc można się targować, handryczyć — można udawać, że się nie widzi — groźnych chmur na nieboskłonie narodowym. Pogodzić się i pojednać w celach i w pracy narodowej zawsze dość jeszcze czasu — a tymczasem przecież może się coś utarguje i zabezpieczy na przyszłość w posiadania!

A tymczasem czas szybko bieży — godziny na zegarze dziejowym mijają przynosząc zmiany i niespodzianki, które zastają nas nieprzygotowanych — i rozbitych na partykularnem śmieciu i zaciekle procesujących się o gruszę na miedzy.

Oby dojrzałość polityczna Czechów — i siła ich muszkułów narodowych otworzyła nam raz oczy! Może ich przykład zakołacę w sumieniu naszem i odbije się echem prawdy w duszy, która zawróci nas z błędnej drogi.

Wieść o nieuniknionej wojnie

między Japonią a Ameryką roseszła się onegdaj na giełdzie nowojorskiej i że nawet okręta transportowe są już przygotowane.

Panika na giełdzie trwała kilka godzin. Uspokojono się dopiero z trudnością treścią depesz waszyngtońskich.

Ambasador japoński w Waszyngtonie Aoki wniósł imieniem swego rządu skargę przeciw miastu San Francisco o odszkowanie dla pokrzywdzonych Japończyków. Na podstawie tej skargi wybuchła panika, chociaż skarga ta wniesioną została za zgodą rządu waszyngtońskiego.

Położenie we Francyi także nie przedstawia się w różowem świetle.

Donoszą stamtąd, że komendant wojskowy w Montpellier, zawiadomił ministra wojny, że w razie rozruchów

nie jest pewny armii.

Jak wiadomo wybuchł tam ogromny strejk winiarzy, z którymi wojsko sympatyzuje, a z powodu czego, jak już wczoraj donosiliśmy, w pułku 122, przyszło było do buntu.

Automobilem z Pekinu do Paryża.

Onegdaj rozpoczął się międzynarodowy wyścig automobilowy na drodze ze stolicy Chin, Pekinu, do stolicy Francyi, Paryża. O przygotowaniach do tych niebywałych wyścigów czytamy w pismach angielskich: Na kilka dni przed rozpoczęciem „biegu“ odbywały się wyścigi próbne, ale wzięło w nich udział tylko 5 automobistów: 3 Francuzów, jeden Holenderczyk i 1 Włoch. Wszystkie automobile są ze względu na wielkie trudności terenowe, niesłychanie silnej budowy a najsilniej zdaje się być zbudowany automobil włoski, w którego konstrukcyi poświęcono szybkość na rzecz wytrzymałości. Wyścigowcy będą mieli do zwalczenia ogromne przeszkody, drogi bowiem publiczne, zwłaszcza w Chinach, są w strasznem zaniedbaniu. Już o 40 kilometrów od Pekinu rozpoczynają się doły i pagórki, nagłe wzniesienia i niebezpieczne spady. Największe trudności przedstawia okolica Nankon, skąd począwszy, na przestrzeni 240 kilometrów prowadzi droga przez teren górzysty. Po przebyciu granicy Mongolii wjadą śmiali podróżnicy w bezmierne obszary pustyni Gobi.

Na całej drodze w granicach „niebieskiego państwa“ założono stacye, postoje, na których czuwają kulisi (tragarze) i gdzie złożone są zapasy benzyny oraz rozmaitych narzędzi, potrzebnych do naprawy uszkodzonych automobilów. Samochód włoski, należący do księcia Scipiona Borghese, ma rezerwoar benzynowy, wystarczający na przebycie 1000 klm. Wiezie on nadto 10 galonów wody, składany namiot polowy i obfite zapasy żywności.

Pominąwszy trudności terenowe, będą mieli turyści automobilowi do zwalczania liczne przeszkody, jakie stawiać im będzie ludność chińska, nieobyta z widokiem szalenie pędzących samojazdów, które gotowa wziąć za wcielonych szatanów, prze-

---

60

MICHAŁ WOŁOWSKI.

ŚLADEM ZBRODNIARZY

ROMANS NA TLE STOSUNKÓW WARSZAWSKICH.

— Nie zapominaj pani jednak, że to był zbrodniarz, że to był człowiek rąk poplamionych krwią uczciwych ludzi i że mu się to najzupełniej należało. Gdyby inaczej była postąpiła, byłaby niezawodnie wspólniczką jego ohydnych czynów, a nie każda natura, nie każdy charakter umie się obojętnie liczyć ze zdradą i przyjmować na siebie winy cudze.

Rózia znów parę razy niepewnymi i widocznie rozdrażnionymi krokami przeszła się parę razy po pokoju, a ajent najwyraźniej czytać mógł na jej twarzy i ustach to rozdrażnienie wielkie i walkę samej z sobą.

— Nie, nie! — zawołała ona nakoniec — to była kobieta, nie mająca serca i nie umiejąca kochać. Ja gdybym serce moje oddała nawet zbrodniarzowi, tobym mu je dochowała i wówczas, gdyby go prowadzono na stracenie. W jednym tylko wypadku bym go zdradzić mogła, mianowicie, gdyby on mnie zdradził, gdybym się przekonała, że mnie nie kocha.

— Już cię mam w ręku! — pomyślał sobie w tej chwili ajent, usłyszawszy ostatnie frazesy Rózi. — Nie ujdziesz mi ptaszku, znalazłem na ciebie sposób i zwyciężę cię niezawodnie.

Rózia widocznie zwalczyła w sobie to rozdrażnienie nadmierne, bo po małej pauzie odwróciła się ku Franciszkowi i innym już, prawie że spokojnym głosem zawołała:

— Ach! ale pocóż ja o tem wszystkiem z panem rozmawiam? Rozdrażniona jestem czasem i mówię od rzeczy, proszę, zapomnij pan o tem wszystkiem. Powiedz pan majstrowi — dodała po chwili — że zgadzam się zupełnie na wasz gust, co do moich mebli, tylko proszę, zróbcie mi to prędko, bo nie lubię pustych pokoi.

— O! proszę pani, to się wszystko bardzo szybko załatwi. Mebelki się wyrestaurują i będą zupełnie jak nowe.

To mówiąc pan Franciszek ukłonił się niezgrabnie i we drzwiach zniknął. Wyszedłszy na świeże powietrze, rozpoczął swoje kombinacye, jak to miał we zwyczaju przy każdym wypadku tego rodzaju i snać wynik tego myślenia był bardzo pomyślny, bo uśmiechnął się do siebie i szepnął:

— Ach, Boże drogi, jakże to łatwo ciebie tutaj ująć?... No, no — dodał do siebie, mrucząc pod nosem — ależ do kroćset jakiż to jeszcze Fryc wielki, wtajemniczać kobietę do tego rodzaju sprawy, na jej języku opierać tajemnicę, na to faktycznie trzeba być chyba szalonym.

Uszedłszy tak parę kroków, nagle zatrzymał się pan Franciszek i uderzył dłonią o głowę.

— Co znaczy jednak ta uczta inauguracyjna w sklepie fabrykanta fajerwerków?... Człowiek to zupełnie nie należący do ich sfery, nie bywający między nimi, wyprawia ucztę i Eberski idzie na nią, zabiera przytem Rózię?!... Nie, nie, w tem wszystkiem tkwić musi jakaś przyczyna inna, jakaś rachuba, a no, sprobujmy ją rozwiązać.

Uczyniwszy to postanowienie, pan Franciszek doszedłszy do ulicy Złotej przez Bracką, nagle zmienił kierunek swej drogi, zawrócił się na lewo i szybko w nowo obranym kierunku poszedł naprzód ku Marszałkowskiej ulicy. Tutaj przeszedł najpierw całą lewą stronę tej ulicy w stronę Saskiego ogrodu, potem powrócił prawą i nareszcie zatrzymał się przed jednym nowo restaurowanym sklepem, dotąd jeszcze nie otwartym, ale już posiadającym wielki szyld, na którem pokaźnemi, złoconemi literami wypisano nazwisko: „Klucki“.

— Aha, to tutaj! — mruknął sobie pod nosem — obejrzyjmy przeto ten teren uczty pana Eberskiego.

To mówiąc, wszedł we drzwi domu, prowadzące przez sień na podwórze, z którego doskonale już można było rozeznać wnętrze restaurowanego sklepu.

Składał się on z dwóch pokoi: pierwszy frontowy nosił na sobie znaki elegancyi i szyku, zawierał kontuar i widocznie przeznaczonym był dla gości. Drugi nieco większy nawet służył na skład owych przyborów fajerwerkowych, które miały być głównym produktem sprzedażnym operacyi młodego przemysłowca.

Przez szyby okien świeżo wymyte ajent mógł na kartkach, poprzczepianych do okazów, wyczytać ich przeznaczenie. Widział tam rakiety, elektryczne słońce, szmermele, buraki, ale najszczególniejszą jego uwagę zwróciła blaszanna puszka, na której olejną farbą, grubemi literami wypisany był tytuł: „proch“.

Obejrzawszy to wszystko, ajent mruknął coś do siebie pod nosem.

— Także pomysł, uczta na takim wulkanie, gdzie lada chwila najmniejsza iskierka może wszystko ponad ziemię w powietrze wysadzić.

(C. d. n.)

biegających granice „niebieskiego państwa“ i pozostawiających tylko przykrą benzynową woń — swąd piekielny — po sobie. Czeka więc śmiałków droga pełna przygód i niebezpieczeństw, a może i ofiar w życiu ludzkiem. Ale o tem dowiemy się dopiero w przyszłości.

Wystawa przyrodniczo-lekarska i hygieniczna we Lwowie.

Każdy człowiek, któremu życie bliźniego na sercu leży, interesuje się niewątpliwie zdobyczami nauki, w zakresie medycyny. U nas to zainteresowanie, ten „altruizm“ ludzki wzbudza wystawa przyrodniczo-lekarska, która niebawem otwartą zostanie.

Trudno dzisiaj wdawać się w opisywanie szczegółów robót przygotowawczych; możemy jednak zapewnić, że roboty te, pod kierownictwem niestrudzonego dyrektora wystawy dra Kaliksta Krzyżanowskiego, są już na ukończeniu. Napływają każdym pociągiem kolejowym coraz to nowe przedmioty wystawowe, których odpowiedniem i stosownem rozmieszczeniem zajmuje się ciągle dyrektor Krzyżanowski. Pomocnym jest mu w tem znany tutejszy przemysłowiec p. Wład. Cyrin. Ukończone są już także roboty tapicerskie, konieczne celem odpowiedniego umieszczenia przedmiotów wystawowych.

Jak nam z dyrekcyi wystawy donoszą, przez cały czas trwania wystawy, będzie park stryjski odgraniczony od placu wystawy przyrodniczo-lekarskiej parkanem drucianym. Zwiedzający wystawę będą mogli swobodnie oddawać się studyom i badaniom oglądanych okazów, publiczność przechadzająca się w parku po za odgraniczeniem od placu wystawy, będzie mogła także swobodnie przechadzać się obok i podziwiać uczących się i badających.

Skrzypicielka.

Przyszedł do redakcyi jeden z tych niezliczonych gości, którzy szukają pracy i zarobku. Była to młoda, piękna bardzo dziewczyna, o inteligentnym wyrazie twarzy, i o spojrzeniu, z którego najwidoczniej głód wyzierał.

Zmęczonym, błagalnym głosem spytała, czy nie mamy dla niej jakiego zajęcia.

— Mam trzecią klasę seminaryum i egzamin z rachunkowości państwowej — rzekła z odcieniem goryczy — i mimo tego nigdzie niemogę dostać posady.

— I my z przykrością odmówić pani musimy. Wszystkie miejsca zajęte, a gdyby się w najbliższym czasie jakieś otworzyło, to tyle mamy zapisanych na nie kandydatek...

Dziewczynie łzy stanęły w oczach.

— Ale chętnie w inny sposób pragnęlibyśmy dopomódz pani do jakiegokolwiek zajęcia. W *Gońcu* był niedawno anons, że poszukuje się nauczycielki gry na fortepianie...

— Niestety, niegram na żadnym instrumencie. Jestem zupełnie niemuzykalną.

— Szkoda. Z takich lekcyi niewiele jest, ale zawsze są jakąś pomocą.

— Może panowie dacie mi co do przepisywania? Mam bardzo czytelne i prędkie pismo.

— Niema nic. Gdyby pani wiedziała, jak wiele osób zgłasza się do nas po zajęcie! Mianowicie emigranci z Królestwa. Codziennie jest ich tu kilku, kilkunastu nawet...

Wstała i poczęła się żegnać.

— Przepraszam za moją napaść. Ale wierzcie panowie, że tylko ostateczność zmusza do podobnego kroku, do pukania w obce drzwi...

— Pani daruje, ale redakcya jest dla wszystkich otwartą, ona dla nikogo niemoże być obcą.

Uśmiechnęła się smutnie i wyszła.

W trzy dni później, wracając z kolei, schroniłem się przed deszczem do nocnej kawiarni. Było w niej rojno i wesoło. W jednym rogu, na podyum, grała damska kapela z ośmiu dziewcząt, z jednego dyrygenta i z jednego fortepianisty złożona.

Rzucam okiem na tę grupę, i ku mojemu zdumieniu spostrzegam w pierwszym rzędzie niedawną petentkę redakcyjną, grającą z werwą na skrzypcach, choć tak ubolewała, że na żadnym instrumencie nie gra, że „jest najzupełniej niemuzykalną“.

Ubrana w białą muślinową suknię, z pąsową szarfą na wspaniałym biuście — wyglądała czarująco, tem bardziej, że oczy wbiła w ziemię a na jej twarzy płonął wspaniały rumieniec wstydu i zakłopotania.

Rozbijałem sobie głowę nad pytaniem, dlaczego mnie okłamywała, że nie gra, że nie jest muzykalną — i nie mogłem na to znaleźć żadnej odpowiedzi.

Gdy „numer“ się skończył, podszedłem do orkiestry i przywitałem się z nią.

— Pani mnie nie poznaje?

Spojrzała na mnie badawczo i widziałem, że ją z zażenowania krew zalewa.

— Nie... nie przypominam sobie...

— Byłaś pani u nas niedawno, szukając zajęcia.

Podniosła swe ciemne, niebieskie jak stal oczy, ale widziałem, że naprawdę nic sobie nie przypomina.

— Pan daruje, ale ja w ostatnim czasie więcej jak w stu miejscach starałam się o zajęcie...

— Byłaś pani i w redakcyi *Gońca*.

— Ach, tak, prawda... byłam... proszę wybaczyć mój brak pamięci... nie poznałam pana.

I uścisnęła mnie tak serdecznie za rękę, jak gdyby najmniejszego kłamstwa nie miała na sumieniu.

— Mówiłaś pani, że jesteś niemuzykalną. Czy kłamałaś pani z obawy, abym jej nie zaproponował posady skrzypicielki w nocnej kawiarni?

Twarz jej ścięła się w nagłem zamyśleniu, a potem rzekła żywo:

— Tak, była o tem mowa, ale ja niegram... na niczem...

— Przecież co tylko widziałem panią grającą na skrzypcach.

Spojrzała na mnie trochę nieprzytomnie i nowe płomienie buchnęły na jej czarującą twarzyczkę. Potem pochyliła się i szepnęła:

— To są nieme skrzypce... smyczek wysmarowany mydłem i niegra wcale... ja tylko wodzę nim po strunach, udaję tylko, że gram... weź pan w rękę, przekonaj się pan...

Z kolei mnie ogarnęło zdziwienie.

— I jakiż cel tej roboty, tego udawania gry?

— Widzi pan — poczęła mi tłómaczyć, niewychodząc z zakłopotania, w kapeli takiej potrzebne są młode, ładne twarze. Ale taką, która umie grać, rzadko jest ładną. Więc dyrygent ma w swej orkiestrze pięć panien, te w tyle, które rzeczywiście grają, a ja i te dwie na przodzie, udajemy tylko, że gramy. Ta blondyna za mną niby to gra na flecie, trzyma go przy ustach, ale ani jednego tonu niedobywa z niego. Jesteśmy tylko dekoracyą orkiestry i niczem więcej. Pan się dziwisz, że przyjęłam takie zajęcie? A cóż miałam robić? Umrzeć z głodu albo iść na ulicę? Teraz mam przynajmniej trzy korony za noc i kolacyę...

W ostatnich jej słowach aż drżały gorycz i ironia, a w jej pięknych źrenicach szkliły się łzy...

Chciałem dalej mówić, gdy przeszkodził mi dyrygent, uderzając smyczkiem w pulpit na znak, że zacznie się zaraz nowy numer...

Wracając do domu, mimo błota i deszczu, które zwykły mięszać tok myśli, zastanawiałem się nad gorzkim losem tej pięknej desperatki, i nad pomysłowością dyrygenta, który ma i zgraną i ładną kapelę. I zdaje mi się, że ten ostatni warunek jest dla niego pierwszym, a muzyka stoi zupełnie na dalszym planie.

MAŁA ĆWIARTKA.

Rada.

Cierpisz? przegrałeś na loteryi życia?
Ognik miłości zawiódł cię w bezdroże?
Straciłeś pieniądz, złudzenie lub może
W drodze do sławy doznałeś rozbicia?
Skądkolwiek wyszło, że duch twój w żałobie —
Jeźliś spokoju żądny — skryj to w sobie.

* *

I szczęścia swego nie obnoś wśród ludzi;
Jak drogi klejnot schowaj je głęboko;
Bo w jednym zawiść, w drugim chciwość [budzi,
A gdy je skala czyjeś brudne oko,
Gdy każdy rękę śiągnie doń bezwstydnie,
Albo je stracisz, albo ci obrzydnie.

Wiktor Gomulicki.

Tragedya jedynaczki.

(Z dziejów lwowskiego feminizmu.)

Smutny nad wyraz wypadek zdarzył się wczoraj po południu w rodzinie pana R., urzędnika, a zarazem wybitnego działacza na polu społecznem.

W domu państwa R., bywał pewien młody, kończący właśnie za granicą studya lekarz. Panna Aleksandra, córka państwa R., młoda i trochę egzaltowana panienka, poczuła do lekarza gorącą sympatyę. Upływał atoli miesiąc za miesiącem, a lekarz niczem nie zdradzał, jakoby względem panny Aleksandry miał matrymonialne zamiary. Ostatniej zaś niedzieli oświadczył, że około 15 b. m. wraca na dalsze studya do Berlina i niewie nawet, kiedy znów do Lwowa zawita.

Wtedy panna Aleksandra zdobyła się na krok u nas niezwykły. W poniedziałek wieczór wyznała młodemu lekarzowi, że go kocha i pragnie zostać jego żoną.

Na to lekarz upadł jej do nóg i wśród wybuchów uniesienia oświadczył, że jego również gorąca miłość do niej zatrzymała tak długo we Lwowie, ale niemając jeszcze samodzielnego stanowiska, nieśmiał prosić jej o rękę.

Następnie szczęśliwy narzeczony prosił rodziców panny o rękę ich córki, a ci z chęcią zgodzili się na ten związek.

I wszystko byłoby dobrze — gdyby na drugi dzień panna Aleksandra nieprzyznała się przed rodzicami, jak śmiałym, niezwykłym krokiem położyła fundament pod swoje przyszłe szczęście.

Rodzice panny Aleksandry byli oburzeni i poczęli córce robić gorzkie wymówki, nazywając oświadczyny z jej strony gorszącym skandalem. Najbardziej rozżaloną była na córkę matka, która utrzymywała, że małżeństwo takie nie może być szczęśliwe, że mąż niemoże mieć szacunku dla żony, która pierwsza mu się oświadczyła, a nawet groziła pani R. cofnięciem danego słowa lekarzowi i zerwaniem projektowanego małżeństwa.

Przez cały wtorek i środę w domu państwa R. wrzało ustawiczne piekło. —

Panna Aleksandra zapytywana, jak mogła się zdobyć na podobny krok, wyznała wśród rozpaczliwego płaczu, że będąc na ostatnim wiecu w sprawie równouprawnienia kobiet, jaki się odbył w sali Towarzystwa pedagogicznego, powzięła myśl oświadczenia się ukochanemu, uważając postąpienie takie za całkiem naturalne, a to w myśl dyskusyi, jaka się na wiecu toczyła.

Rzecz prosta, że tłómaczenie takie nie zadowolniło matki i wyrzuty nieustawały, a nawet coraz energiczniej mówiono o zerwaniu zaręczyn. Aż wczoraj popołudniu panna Aleksandra, zbolała i zrozpaczona, wypiła wielką dozę kwasu solnego w zamiarze otrucia się.

Uczyniła to w minutę po wyjściu rodziców z domu, a zostawiona sama, bez jakiejkolwiek pomocy, byłaby z pewnością skonała w niedługim czasie wśród męczarni. Na szczęście ojciec panny Aleksandry wrócił się z ulicy do mieszkania po parasol, i znalazł córkę wijącą się w boleściach na ziemi. Ponieważ naprzeciw mieszkał doktór, który natychmiast nadbiegł z pomocą, udało się ocalić pannę Aleksandrę, jakkolwiek stan jej jest bardzo poważny i w najkorzystniejszym razie skończy się na długiej chorobie.

Narzeczony panny Aleksandry; dowiedziawszy się o całem zajściu i o jego powodach, popadł w taką rozpacz, że brat musi ustawicznie nad nim czuwać, aby również nie popełnił samobójczego zamachu.

Najgrubszy narzeczony.

(Do ryciny na stronie 1.)

Tak wygląda, jak go przedstawia nasza rycina na tytułowej stronie. Żyje w Ameryce i nazywa się W. T. Brinson. Zacny jest i szlachetny, co już z tego wynika, że się zaręczył, a niedługo zamyśla się żenić. Z jego biografii podnieść należy, że jest ciężki, ale przytem dobrze sytuowany. Życie jego atoli nie jest lekkie. Musi mieć własne krzesła, własne łóżko, własne drzwi i wszystko własne. W wagonie kolejowym zajmuje dwa siedzenia i jeszcze mu duszno.

Pewnego dnia ogarnęła go miłość. Przedmiotem jego uwielbienia była miss Allen zamieszkała w Serpenton. Chciał spieszyć do niej, ale niemógł znaleść dość dużego powozu, któryby go tam zawiózł. Zastanowił się więc i napisał do niej długi list, ale taki czuły i tkliwy, że miss Allen serdecznie się rozrzewniła i powiedziała, iż się namyśli.

Wtedy Brinson niewytrzymał dłużej, kazał zbudować dla siebie specyalny powóz i pojechał do Serpenton do ubóstwianej. Jak umiał, tak upadł na kolana, i gruchał z nią także na ławce, co wszystko pokazuje nasza rycina.

Bieda była tylko z usłaniem gniazdka dla szczęśliwych małżonków. Co dla niego było w sam raz, to dla niej było za duże. Co dla niej było dobre, to dla niego było za małe. Krzesła np. były tak ciężkie, że ich Miss Allen sama unieść nie mogła, a były lżejsze, to łamały się pod ciężarem pana Brinsona.

Ale ostatecznie udało się tak mieszkanie skonstruować, że młoda para może w niem bezpiecznie zamieszkać. Ślub odbędzie się w tym miesiącu w kościele Metodystów w Waycross. Goście — a głównie ciekawskich — nie braknie na tym ślubnym obrządku najgrubszego na świecie człowieka.

KRONIKA.

Kalendarzyk:

We czwartek rzym.-kat. Antoniego z Pad., gr.-kat. Woznesenije Hosp.

W piątek rzym.-kat. Bazylego, — gr.-kat. 1. Junyi. Justyny.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

We czwartek ostatnie przedstawienie operetki przed wyjazdem do Krakowa, po raz 28-my „Wesoła wdówka" (die lustige Wittwe), operetka w 3-ech aktach W. Leona i L. Steina, przekład Ad. Kitschmana, muzyka F. Lehara, z panią Miłowską w roli tytułowej.

W piątek „Starzy kawalerowie", komedya w 5-ciu aktach W. Sardou. Gościnny występ Mieczysława Frenkla, artysty Teatrów warszawskich.

W sobotę „Wicek i Wacek", komedya w 4-ech aktach Zygmunta Przybylskiego, gościnny występ Mieczysława Frenkla, artysty Teatrów warszawskich.

W niedzielę „Porwanie Sabinek", komedya w 4-ech aktach F. i G. Schönthanów. Gościnny występ Mieczysława Frenkla, artysty Teatrów warszawskich.

W poniedziałek po raz 2-gi „Wielki człowiek do małych interesów", komedya w 5-ciu aktach Al. hr. Fredry. Gościnny występ Mieczysława Frenkla, artysty Teatrów warszawskich.

We wtorek „Porwanie Sabinek", komedya w 4-ech aktach F. i P. Schönthanów.

Z teatru. Pan Mieczysław Frenkiel wystąpi jutro w piątek w Fredrowskiej komedyi „Wielki człowiek do małych interesów" Sardou (granych w ubiegły piątek przy kompletnie wysprzedanej widowni) — w sobotę w wesołej komedyi Z. Przybylskiego „Wicek i Wacek" (w przepysznej roli poczciwego hreczkosieja „Klepackiego") — i w niedzielę na liczne żądania w „Porwaniu Sabinek" Schönthanów.

Ostatnie pożegnalne przedstawienie operetki przed wyjazdem do Krakowa, odbędzie się dziś we czwartek; daną będzie stałem ciesząca się powodzeniem „Wesoła wdówka".

Colosseum Hermanów:

(Pasaż Hermanów, ulica Słoneczna) codziennie o godzinie 8-mej wieczorem przedstawienie; w niedzielę i święta dwa przedstawienia (serya od 1-go do 30-go b. m.). Nowy świetny program.

MIEJSCOWA.

Co uchwaliła Rada miejska? Na odbytem wczoraj posiedzeniu postawił radny Jonasz wniosek, aby posiedzenia sekcyi i komisyi nie odbywały się tuż przed Radą miejską, bo to opóźnia posiedzenie które zamiast o 6-ej zaczynają się okoko 8-ej dopiero. Wniosek ten, rozsądny i wskazany, Rada odrzuciła ze względu na osobistą wygodę wielu panów radnych.

Zresztą cały wieczór zajęła debata nad sprzedażą taniego opału. Referował ją radny Lewicki. Wnioski jego znane są czytelnikom z onegdajszego *Gońca*. Spotkały się one z silną opozyą, ale ostatecznie zostały przyjęte.

I tak radny Ihnatowicz żądał odniesienia się do dyrekcyi domen i lasów, która utrudnia sprzedaż drzewa konsumentom i w sposób dający wiele do myślenia idzie na rękę drzewianym spekulantom.

Radny Stesłowicz żądał rozwinięcia sprzedaży miejskiego opału na wielką skalę, bo inaczej magistrat nie będzie regulatorem cen drzewa, i dlatego proponuje utrzymanie na razie sprzedaży jak dotychczas a równocześnie należy obmyślić urządzenie miejskiego składu drzewa na wielką skadę.

Drugą sprawą była regulacya III. dzielnicy, referowana przez r. Feldsteina, który projektował mianowicie przedłużenie ulicy Karola Ludwika aż do ulicy Pełtewnej, przez co Lwów zyskałby olbrzymi, prawdziwie stołeczny bulwar handlowy.

Rozwinęła się nad tym planem obszerna dyskusya, którą przerwać musiano po 10-tej godzinie dla braku kompletu.

Kaimowa żona. Maryan Kaim posiada w kronikach kryminalnych tak samo głośne nazwisko, jak n. p. Sienkiewicz w powieściopisarstwie albo Lineusz w historyi nauk przyrodniczych. Na sławę swoją Kaim pracował uczciwie całe życie, bo zwykle jedenaście miesięcy w roku siedział w kryminale. Obecnie także odrabia tam swoją powinność obywatelską. Cierpi na tem jego zacna połowica, która z trojgiem potomków małoletnich pozbawioną jest żywiciela. Ale zdaniem jej winę tego ponosi nie mąż Kaim, tylko sąd karny, który jej męża od jego „zajęć zawodowych" i od ogniska rodzinnego odrywa. Wykalkulowała zatem zacna niewiasta Kaimowa, że sąd karny powinien *eo ipso* dbać o jej dzieci. Aby zaś sądowi ułatwić tę opiekę, przyprowadziła do sali rozpraw trojga swych dziatek, i poleciwszy je łaskawym względom przewodniczącego trybunału, ulotniła się czemprędzej. Dzieci oddano pod opiekę komisaryatu, a za rodzicielką ich policya czyni poszukiwania.

Fundacya Fr. Kochmanna. Wydział krajowy królestwa Galicyi i Lodomeryi z W. Ks. Krakowskiem ma zaszczyt podać do wiadomości Szanownej Redakcyi, że w myśl aktu fundacyi zarządza równocześnie powtórne ogłoszenie konkursu na premie dla literatów polskich z fundacyi Franciszka Kochmanna.

Do konkursu dopuszczone są dzieła autorów polskich w języku polskim z wyjątkiem jedynie dzieł treści religijnej — ogłoszone drukiem w ciągu ostatniego dziesięciolecia.

Nagrody są dwie, jedna w kwocie 2000 koron, druga w kwocie 1000 kor. Termin do nadsyłania dzieł na konkurs upływa z dniem 31-go grudnia 1907.

Ocenieniem dzieł i przyznaniem nagród zajmuje się Komisya konkursowa przez Wydział krajowy powołana.

Własność literacka dzieła premiowanego służy autorowi i nadal, nadesłane zaś egzemplarze zostaną na koszt wysełającego zwrócone tylko na wyraźne osobne żądanie.

Rozsądny Rusin. Głośnym był swojego czasu w *Corriere d' Italia* artykuł w sprawie napadu Rusinów na uniwersytet lwowski.

Na ten artykuł odpowiedział bardzo rozumnie lwowski profesor uniwersytetu dr. Zuber. Otóż tymi dniami jakiś ksiądz ruski zamieścił znowu w tem piśmie odpowiedź prof. Zuberowi, napisaną w tonie bardzo przyzwoitym, a wykazującą potrzebę założenia ruskiego uniwersytetu we Lwowie. List kończy się słowami, które tu w przekładzie podajemy, a którym każdy rozsądny Polak chętnie przyklaśnie. Oto one: „Często się mówi o dobrodziejstwach, jakie Rzeczpospolita polska wyświadczyła Rusinom. Nie przeczymy temu, owszem jesteśmy wdzięczni za nie, ale nie należy przemilczeć wielkiej pomocy, jaką Polsce dawali Rusini krwią swoją i pieniędzmi, przykładając się do wydatków państwowych.

„Nie było moim zamiarem obrażać narodu polskiego i tak też rozumiem, że nie było zamiarem profesora, obrażać narodu rusińskiego. Starajmy się oddawać sobie sprawiedliwość obopólnie, szanując *suum cuique* i popierając życzliwe usposobienie rządu wiedeńskiego dla ludu rusińskiego, aby go doprowadzić do tego samego stopnia oświaty, jak u innych narodów Austryi.

„Polacy i Rusini mają dwie rzeczy wspólne: pochodzenie słowiańskie i katolicyzm. Niech zostaną w łączności na tych dwóch punktach, a będą kroczyć wspólnie, zgodnie, przeciw wspólnym wrogom ich braterstwa".

Bezczelne oszustwo. Niezwykle bezczelnego oszustwa dopuścił się tutejszy handlarz mebli, M. Münzer, prowadzący sklep przy ulicy Rejtana 4. Mając pretensyę do jednego z tutejszych przemysłowców, pana H., zaskarżył go do sądu i uzyskał wyrok. Wtedy pretensyę Münzera przyjęła na siebie jedna z tutejszych firm i dług pana H., w zupełności Münzerowi zapłaciła. Ten jednak wpadł na oszukańczy pomysł ściągnięcia jeszcze raz tych pieniędzy, i mając wyrok w ręku, podał o przeprowadzenie zajęcia i egzekucyi w mieszkaniu pana H. Sąd przychylił się do jego żądania, i Münzer z woźnym sądowym wpadli do mieszkania państwa H. podczas nieobecności gospodarza, starając się na pani H., wymusić powtórną zapłatę uregulowanego długu. Marny ten kawał nie udał się jednak, a państwo H., wnieśli do sądu karnego doniesienie na Münzera, który swoją zachłanność odpokutuje zapewne dłuższym kryminałem.

Szelmowska spółka. — Na lwowskim bruku, głównie między właścicielami hoteli, kawiarń i szynków, znane są najokropniejszej strony dwa nazwiska: pan Witz i pani Schalowa. Ten pierwszy był niegdyś szynkarzem, ale od paru lat obrał sobie intratniejszy zawód: pośrednika, a raczej bandyty, wymuszającego na każdym, kto stara się o jakiś konsens szynkowniany w magistracie, grube łapowe.

Do pomocy w tym rozboju wziął sobie niejaką Schalową, kobietę najgorszej konduity, żonę niegdyś weterynarza, obecnie zamężną za jakimś komiwojażerem, z którym jednak nie żyje.

Ten Witz i ta Schalowa, para przypominająca najdokładniej szakala i hyenę, obchodzą każdego petenta, starającego się w magistracie o koncesyę na szynk, hotel lub kawiarnię i domagają się od niego grubej łapówki, strasząc petenta, że bez ich pomocy koncesyi nie otrzyma. Pani Schalowa powołuje się przytem w cyniczny i bezczelny sposób na tę okoliczność, że żyje na wiarę z pewnym funkcyonaryuszem Magistratu, który w sprawach szynkowniaych właśnie ma decydujące niemal słowo.

W ten sposób łajdacka ta para włóczy się po Lwowie i w najniegodziwszy sposób karotują ludzi. Mamy zanotowanych kilkanaście wypadków, w których ludzie ci wymusili od 200 do 2000 koron na różnych petentach. O ile prezydyum magistratu lub sąd karny interesują się tą spółką, możemy oddać mu do dyspozycyi będące w naszem posiadaniu materyały i dowody. Petenci zaś opłacają się im dlatego, bo rzeczywiście bez ich pomocy o otrzymaniu koncesyi — dotychczas przynajmniej — nikt marzyć niemógł. Może się to teraz zmieni na lepsze.

Obsunięcie się kopca Unii lubelskiej. Do zmierzchu spieszyli wczoraj Lwowianie oglądać strasznie zniszczoną część kopca. Przyglądano się zdaleka, bo do miejsc, grożących życiu ludzkiemu nie dopuszczała straż. Nie każdy jednak stosował się do uwag straży, byli i tacy, co wbrew zakazowi pchali się do miejsc zagrożonych. Przestrzedz jednak należy przed lekceważeniem zarządzonych środków. Publiczność sama powinna iść na rękę straży, przy kopcu ustawionej, dla uniknięcia ewentualnych ofiar jeszcze jednego wypadku.

Wczoraj w południe była na miejscu komisya, złożona z wiceprezydenta miasta Ciuchcińskiego, radcy magistratu Cetwińskiego, inżyniera miejskiego urzędu budowniczego Dziubaniuka i starszego komisarza policyi dr. Reinländera. Komisya przyszła do przekonania, że na razie nie można myśleć o naprawie kopca. Należy bowiem czekać dalszego usuwania się, a dopiero potem przystąpić do gruntownej naprawy. Koszta wyniosą, jak przypuszczają fachowcy, około 20.000 koron. Wyrobiło się zdanie, że lepiej będzie nie zalesiać nadal olbrzymiego stoku ku głównej drodze Wysokiego Zamku, z którego spadająca część kopca wyrwała stare drzewa. Inspektor ogrodnictwa miejskiego p. Röhring proponuje, aby zostawić na tej przestrzeni aż do dołu trawnik. W ten sposób odsłonięty będzie kopiec od głównej drogi Wysokiego Zamku, a ponadto droga ta zyska więcej światła. Ostateczne propozycye co do dalszej akcyi nastąpią dziś przedpołudniem, albowiem dziś zbiorą się przy kopcu kompetentne komisye.

„Pajseczny" czy „chumeczny"? Niezwyły temat sporny ma zajmować niebawem ławę sędziów przysięgłych. Ze skargą wystąpili pp. Mojżesz Tauber i Mojżesz Löw, właściciele miodosytni w Zniesieniu przeciw rabinowi Leibie Braudemu i trzem asesorom rabinackim, którymi są: Meschulem Salata, Josel Babada i Markus Wolf. Wydali oni drukowaną odezwę do ogółu żydów, rozlepili ją po murach, oraz porozsyłali po restauracyach we Lwowie i na prowincyi. Przestrzegali oni współwyznawców, aby u Taubera i Löwa nie kupowali dla siebie miodu na święta wielkanocne, bo miód ten nie jest „pajseczny" lecz „chumeczny", gdyż nie mają oni t. zw. „hechschera". t. j. poświadczenia rabinackiego, że fabrykat odpowiada przepisom rytuału żydowskiego. Rabin Braude miał się bowiem przekonać — jak wydrukowano w odezwie — że Tauber i Löw nie zasługują na wydanie im „hechschera" i z tego powodu wraz z swoimi asesorami odmówił im tego pozwolenia. Dalej twierdził rabin z asesorami w tej odezwie, że wprawdzie Tauber i Löw mają „hechschera" od rabina Rapaporta, ale pozwolenie to jest nieważne, bo Rapaport jest „staruszkiem, nie umiejącym sobie zdać sprawy należytej i ulegającym ludziom młodszym, którzy jemu swoją wolę narzucają".

Treścią tej odezwy uczuli się pp. Tauber i Löw poniżeni w opinii publicznej i zaskarżyli rabina i jego asesorów o występek z §. 488 u. k. Dla wyjaśnienia dodać należy, że produkcya artykułów spożywczych według rytuału żydowskiego („pajsecznych"), polega na tem, że wyroby sporządzać się ma z świeżego materyału i w osobnych naczyniach. Wytwórca musi przedtem uzyskać od rabina „hechscher", za co oczywiście płaci odpowiednią kwotę, inaczej posądzony zostaje, że wyrabia artykuły „chumeczne", a takich spożywać w czasie świąt wielkanocnych zabrania żydom ich rytuał.

Z KRAJU.

Szajka lichwiarska w Krakowie. — W ostatnich dniach wpadła policya krakowska na trop spółki lichwiarskiej, która uprawiając wysoką lichwę, bardzo sprytny wymyśliła sobie sposób, celem obejścia ustawy. Komisarz policyi, p. Rudolf Krupiński, wyśledził mianowicie i przyaresztował niejakiego Noego Zinsa, trudniącego się rzekomo pośrednictwem w zakupnie towarów bławatnych, oraz Mojżesza Silbersteina, który był zatrudniony u Zinsa jako faktor. Lichwiarze ci wyszukiwali potrzebujących kredytu, a niemających warunków uzyskania go, oraz małoletnich, niemających według ustawy prawa do zaciągania pożyczek, i wypożyczali im pewne kwoty pieniężne na weksel. Aby jednak na każdej takiej operacyi zarobić, nie wypłacali wypożyczającym kwot, na które opiewały weksle, lecz wręczali im różne biżuterye i kosztowności, jak złote zegarki, łańcuszki i pierścionki, wstawiając wartość ich w pieniądzach oznaczoną, jednakowoż kilkakrotnie rzeczywistą ich wartość przewyższającą. Rezultat dobrze obmyślanej tej operacyi był taki, że pożyczający na weksel otrzymywał nie pieniądze, lecz kosztowności, które dopiero sam musiał spieniężyć, lecz kosztowności te miały z reguły kilka razy niższą wartość, niż to w rachunku sumy wypożyczonej było oznaczone.

I tak n. p. gdy lichwiarze wypożyczyli komuś na weksel 500 koron, zamiast gotówki, wręczali pożyczającemu zegarek, którego wartość oznaczali na 400 koron, a za który pożyczający przy sprzedaży otrzymać mógł najwyżej 100 do stu kilkunastu koron, resztę zaś kwoty, na wekslu wyrażonej, wypłacali gotówką.

Przez taką operacyę pożyczający otrzymywał gotówką zwykle połowę, jeżeli nie mniej od kwoty, na którą opiewał weksel. Z tej połowy musiał jeszcze pożyczający opłacić pośrednika, oraz procenta, zarachowywane już naprzód. Interes szedł dobrze, potrzebujących takiego kredytu było wielu. Drugi członek tej spółki, Silberstein, trudnił się głównie wyszukiwaniem znajdujących się w kłopotach pieniężnych i przyprowadzaniem ich Zinsowi, który, korzystając z sytuacyi, wysysał swą ofiarę bez litości. Śledztwo policyjne wykryło kilka takich wypadków niesłychanej lichwy, przeważnie wśród ubogiej ludności na Kazimierzu. Sprawa zostanie oddaną prokuratoryi państwa.

Spalony chłopiec. Okropny wypadek zdarzył się onegdaj w Krakowie, w domu przy ulicy Dajwór l. 23. Stróż domu Skałka poszedł wczas rano do roboty, a nieco później wyszła do miasta jego żona, zamknąwszy na klucz dwoje małych dzieci: czteroletniego Szczepana i półtoraroczne niemowlę w kołysce. Niedługo po wyjściu matki, usłyszeli sąsiedzi krzyk zamkniętych dzieci. Przeczuwając nieszczęście, gdy w inny sposób nie można się było dostać do mieszkania, rozbili drzwi przy pomocy siekiery. Straszny przedstawił im się widok. W pokoju zadymionym, pełnym niieznośnego swądu spalenizny, zobaczyli wijące się z boleści na łóżku nagie ciało czteroletniego chłopca. Sukienka na nim całkowicie spłonęła, a powierzchnia ciała przedstawiała jeden szmat spalonej skóry, miejscami płatami odstającej od ciała. Tylko nogi poniżej kolan i szczyt głowy, t. j. miejsca nie zakryte suknią były wolne od poparzenia. Zaalarmowano pogotowie ratunkowe, które przebywszy na miejsce wypadku, zastało już dziecko majaczące, wołające jak przez sen „kawy". Tymczasem przybyła również nieszczęśliwa, nieostro-

żna matka. Chłopca już dogorywającego owinięto w watę i prześcieradło i odwieziono do szpitala św. Łazarza. Nadziei wyzdrowienia chłopca niema żadnej. Prawdopodobnie przyczyną tego wypadku była zabawa z zapałkami.

Defraudacya 20.000 koron. Donoszą ze Stanisławowa, że asystent Jan Taschke, stacyonowany w Tłustem, zbiegł po zdefraudowaniu 20 tysięcy koron. Pogłoska o tej defraudacyi obiegła już Lwów onegdaj wieczorem, nie podawaliśmy jej jednak, bo nie można było stwierdzić jej prawdziwości, policya zaś trzymała sprawę w tajemnicy, ze względu na to, że we Lwowie bawi od dłuższego czasu żona defraudanta wraz z dziećmi i zachodziło silne podejrzenie, iż zbieg ukrywa się chwilowo we Lwowie. Pogłoska o defraudacyi kolportowana przez miłośników sensacyi wzrosła tymczasem do potwornych rozmiarów i pojawiła się nawet w wydaniu trzykrotnie powiększonem i rozszerzonem. Dotychczas nie trafiono na ślad defraudanta.

ZE ŚWIATA.

Zaraza na biletach tramwajowych. Pewien lekarz z Bordeaux, dr. Busquet, starał się zbadać, czy choroby zakaźne mogą być przenoszone za pomocą biletów tramwajowych.

Aby obserwować te bilety, doktor Busquet jeździł po rozmaitych liniach tramwajowych w Bordeaux. Zebrał dziesięć biletów, poślinionych przez pięciu rozmaitych konduktorów. Aby kartka nie była dotknięta jego rękami, obdarł i wyrzucił rożek dotknięty przez niego palcami a umieścił część nietkniętą pomiędzy dwoma arkuszami papieru sterylizowanego. W ten sposób była zachowana tylko ta część biletu, która znajdowała się w ręku konduktora.

Rezultaty zostały wkrótce otrzymane. Bakterye zostały wychodowane na bulionie i okazało się, że były między nimi najrozmaitsze, bardzo szkodliwe. Białe myszy, po zaszczepieniu im tych bakteryi, wszystkie były chore. Na dziesięć, ośm ich zdechło. Pięć szczurów po zaszczepieniu zdechło również.

Z tych doświadczeń dr. Busquet wywnioskował, że ze wszystkich konduktorów dwaj tylko dali bilety, pozbawione bakteryi. Trzej inni mogli udzielić podróżnym wraz z biletami jakiejś choroby zakaźnej.

Żaden jednak jeszcze doktor nie wykazał, w jaki sposób moglibyśmy się radykalnie ustrzedz przed bakteryami. Ulokowanie się pod kloszem małoby pomogło, bo i pod nim powietrze kotłować się będzie od bakteryi... Położenie bez wyjścia. A raczej jedno jest tylko wyjście: na tamten świat.

Amatorka tłuściochów. Osobliwe ogłoszenie podała w jednym z dzienników chicagoskich pani Rosa Bendos, wdowa. Poszukuje mianowicie męża, który odpowiadałby warunkom następującym: Ma dobrze wyglądać i ważyć co najmniej dwa centnary. Majątek nie wymagany, ona bowiem sama ma dość pieniędzy i mienia dla zapewnienia obopólnego szczęścia.

Fabryka mumii egipskich. Pod Paryżem w Moutrouge istnieje ciekawa fabyka. Wyrabiają w niej... mumie egipskie. Pokazało się bowiem, że jest to bardzo intrantna gałęź przemysłu. Znaleźli się więc przedsiębiorcy, którzy postanowili pomnożyć ilość znajdywanych z przed tysięcy lat arcykapłanek, eleganckich egipcyan i egipcyanek przez sztuczną fabrykacyę. Z początku sądzono, że do takiej fabrykacyi używa się szkieletów ludzkich. Tymczasem w praktyce sprawa przedstawia się o wiele prościej. Bierze się gruby kij na jednym końcu nazadza się sztuczną głowę z wosku lub drzewa; następnie kij obwija się w odpowiedni sposób szmatami, a na wierzch imitacyą powijaków w jakich zwykle mumie znajdują. Taka „mumia“ jedzie do Kairo, tam sprzedaje ją się jako najprawdziwszą w świecie i jako taka wraca ona następnie do Europy.

Mężołase Indyanki. Aż 12 młodych Indyanek ze szczepu Czikasawy, zgłosiło się przed kilkunastu dniami do zarządu szkoły rolniczej w Charlotte, z oświadczeniem gotowości i ochoty wyjścia za mąż za białych studentów tej szkoły. Indyanki są zamożnemi właścicielkami gruntów, co znowu pośród studentów, przeważnie wielkich chudeuszów, wielką do żeniaczki wywołało ochotę.

Tragiczne samobójstwo. Przed kilku dniami uległ młody 17-letni praktykant handlowy Stummer w Wiedniu strasznemu wypadkowi. Jechał na rowerze i chciał wyminąć omnibus, jednak uczynił to tak nieszczęśliwie, że na miejscu został zabity. Dyszel wozu zawadził o niego, odrzucił na bok do ziemi; koło wozu przeszło mu przez głowę i rozgniotło mu czaszkę.

Kiedy ojciec jego dowiedział się o nieszczęściu, zrozpaczony sam powziął myśl samobójstwa.

Przedwczoraj kupił sobie rewolwer, udał się na ulicę w to samo miejsce, gdzie syn jego zginął i strzelił sobie w serce. Kula zraniła go ciężko, ale nie zabiła. W stanie prawie beznadziejnym odwieziono go do szpitala.

Korespondencye Redakcyi. Czytelnik *Gońca*. Dziękujemy za życzliwe słowa.

Marya F. Nowelka jest śliczna, tylko niepodobna jej zrozumieć. Także styl jest niemożliwy. Prosimy na przyszłość poprawić się pod obu względami.

TELEGRAMY.

Wittek i Waber.

Wiedeń. Dr. Lueger, wybrany w dwóch okręgach, złożył mandat w śródmieściu, polecając w swoje miejsce kandydaturę b. ministra kolejowego Witteka. Partya liberalna zaś forsuje kandydaturę dra Wabera, urzędnika skarbowego, którego minister Korytowski rzekomo z powodu ubiegania się o mandat poselski przeniósł z Wiednia do Bregencyi, które to przeniesienie, jak wiadomo, wywołało dużo złej krwi wśród niemieckich urzędników.

Wojna karzełków.

Meksyk. Prezydent Salwadoru telegrafuje, że rewolucyoniści wsparci przez armię nikaraguańską, podpłynęli szalupą pod miasteczko Acajutla, zbombardowali je z jednej armatki i zajęli.

Podpalenie teatru.

Paryż. W teatrze w Narbonie wybuchł wczoraj ogromny pożar, który cały teatr zniszczył. Pożar był podłożony.

Przyjemne skutki niemieckiego łajdactwa.

Rzym. Wskutek kradzieży cennego manuskryptu, jakiej się dopuścił badacz wiedeński dr. Robert Eisler w bibliotece municypalnej, zarządził minister oświaty środki, obostrzające w najsurowszy sposób przystęp do bibliotek i do muzeów zagranicznym uczonym.

Ciekawe odezwanie się.

Wiedeń. „Tägliche Rundschau“ donosi z Budapesztu, że na obiedzie w kasynie oficerskiem następca tronu Arcyksiąże Franciszek Ferdynand w przemowie swej do oficerów miał się odezwać w następujące słowa:

„Ja nieznam żadnych oficerów węgierskich, ani czeskich, ani niemieckich. Ja znam tylko, czarno-żółtych oficerów!“

Odebranie mandatu.

Petersburg. Komisya dla nietykalności poselskiej w Dumie wezwała posła rewolucyjnego Kusnezoffa, który przed kilku dniami nie chciał stanąć przed sędzią śledczym, aby do dni 14 złożył mandat.

Także rewolucya!

Berlin. Odbywa się tu wystawa kolonialna, na której zbudowaną jest wieś Hererów i umieszczeni w niej są prawdziwi Hererowie wraz z rodzinami. Wczoraj wieczór Hererowie ci, niemogąc znieść brutalnego obchodzenia się z nimi dozorców wystawy, zbuntowali się, pobili strażników i rozbiegli się na miasto. Przez noc złowiła policya 14 uciekinierów i odstawiła ich znowu „do ich wsi“ na placu wystawowym.

(Jeśli nawet z zaproszonymi na wystawę Hererami Prusacy tak po bestyalsku się obchodzą, to cóż dopiero w samych koloniach dziać się musi!)

Cabrera żyje!

Londyn. Z Meksyku brak potwierdzenia wczorajszej wiadomości o zamordowaniu prezydenta Guatemali Cabrery, wobec czego pogłoskę tę uważać należy za fałszywą.

(Od redakcyi. Pan Cabrera już od wielu lat zaprząta swoją osobą opinię świata. Zaprowadził on w Guatemali formalną dyktaturę i wywołał tem ogólne rozdrażnienie. Aby odwrócić uwagę swych poddanych od spraw wewnętrznych republiki, zapłątał się w wojnę z Wenezuelą i z Chili, od których dostał ciężkie baty. Uknuto na niego spisek, i na ulicy, którą przejeżdżał, wybuchła mina. Powóz został zdruzgotany, woźnica i adjutant zabity, a Cabrera odniósł tylko silne potłuczenia. Stało się to przed dwoma miesiącami. Cabrera wykrył spiskowców i 19 skazał na śmierć. Teraz miał zostać wykonany wyrok. Widocznie reszta spiskowców starała się wykonanie wyroku ubiedz nowym zamachem, który prawdopodobnie się nie udał).

Marsz szarańczy na Galicyę?

Budapeszt. W komitacie Hajdu spadły olbrzymie masy szarańczy i w paru godzinach tak zniszczyły całą okolicę, że jednego listka w kilkunastu kilometrowem promieniu nie zostawiły. Szarańcza ta jest marokkańskiego pochodzenia. Kierunek jej lotu jest północny, a więc w stronę Galicyi.

Od wydawnictwa.

Prenumeratorów naszych prosimy, aby natychmiast reklamowali *Gońca P.*, jeżli go codzień regularnie nie odbierają. Postępowanie poczt galicyjskich bowiem jest tak skandaliczne, a niedołęstwo dyrekcyi w zwalczaniu tej zgnilizny tak wielkie, że zmusza nas ono do publicznego piętnowania tych urzędów, które bądź to przez prostą wygodę czytania gazety niebędącej ich własnością, bądź też ze „względów politycznych“ niedoręczają *Gońca Polskiego* adresatom.

Nadesłane.

Za rubrykę tę Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

STANISŁAW BRANDOWSKI. 10)

Potomek Dybidzbanów

NOWELLA Z ZIEMI WIELKOPOLSKIEJ.

(Ciąg dalszy)

— Więc cóż ja mam robić? — spytała pani Małgorzata z pobożną obawą, bo słowa męża trafiały jej bardzo do przekonania.

— Ano, rzecz bardzo prosta: przypodobaj się ty pierwej Panu Bogu i ślubu dokonaj, abyś potem na Jego łaskę i pomoc tem śmielej liczyć mogła.

Widząc jednak, że Jejmość nie rozumie jeszcze, do czego zmierza, dodał:

— Ot, jedź kochasiu do Częstochowy, aby sobie Pana Boga zobligować i tem mocniej Jego sukkurs sobie zapewnić.

W pani Małgorzacie, która pod wpływem tych pobożnych rozmyślań i deliberacyi z mężem całkiem zapomniała o tem, że tu jakaś intryga się snuje, obudziło się podejrzenie, czy mężowi jej nie rozchodzi się jedynie o to, aby ją na jakiś czas z domu wydalić.

— A kiedyż ty myślisz, abym do Częstochowy pojechała?

— Ta choćby i dzisiaj jeszcze.

— Dzisiaj?

Słowo to było wymówione z takim naciskiem i takim tonem, że panu Michałowi pot na czoło wystąpił.

— Ano tak... dziś wieczorem — bąknął półgębkiem.

— Dzisiaj nie mogę.

— Dlaczegoż nie?

— Bo będziemy mieli gości.

— Kogoż takiego?

— Pana Kozerę ze synem.

Pan Michał spojrzał na żonę i doznał takiego uczucia, jakby go kto od stóp do głowy gorącą wodą oblał.

— Przyjadą?... dzisiaj?... zkądże wiesz o tem? czy pisali, że przyjadą?

— Nie pisali nic, tylko mi się nad ranem śniło, że będziemy ich dzisiaj na obiedzie mieli.

Pan Michał spojrzał badawczo w twarz swej lubuni.

— E, sen mara — Bóg wiara — odezwał się po chwili.

— Ty wiesz jednak — odparła pani Małgorzata — że sny moje prawie zawsze się sprawdzają, więc i ten sprawdzić się musi.

Nastało krótkie milczenie, podczas którego małżonkowie spoglądali na siebie, pan Michał — jak to mówią — z podełba: a Jejmość z ukosa i z przekąsem.

— No, ale choćby nareszcie i przyjechali — podjął pan Michał nieśmiało — to po południu odjadą, więc i tybyś pod wieczór wybrać się mogła.

— Zobaczymy, jak będzie i pogadamy o tem jeszcze.

Po tych słowach opuściła pani Małgorzata swego męża i poszła do kuchni, bo czuła prawie bezwiednie, że w dalszym ciągu rozmowy z tem, co wie, zdradzićby się mogła.

Pan Michał patrzał za nią, wąsa dłonią podgarniał i głową kręcił.

— Hm, śniło jej się — mruczał do siebie, „jak się to jednak dziwnie śni czasami! Ktoby to przypuszczał? Na obiedzie będą... a pewnie, że będa, bo ich głodnych od siebie nie puszczę, a potem kto wie, kiedy Turnau sekundatów przyśle? Może popołudniu dopiero — a może na wieczór? Kozery muszą na nich czekać, aby się z nimi rozmówić, o warunki ułożyć — toć chyba i na obiedzie u mnie zostaną. I to wszystko Małgosi się wyśniło — no proszę, a to mówią potem, że sen mara — Bóg wiara“.

Długo jeszcze pan Michał po podwórzu i po ogrodzie chodził i snom wydziwiał, aż nareszcie zamknął się w kancelaryi i papiery porządkować począł. Zeszły mu na tem trzy godziny może, gdy na drodze zaturkotało i przed dworkiem zatrzymała się bryczka zaprzężona w parę koni. Był to Kozera ze swoim synem Władysławem.

(C. d. n.)

Ruch pociągów kolejowych

obowiązujący z dniem 1. maja 1907.

DO LWOWA przychodzą z	rano	przed południ.	po południ.	wiecz.	noc
Krakowa	5·50	8·55*	1·30*	5·25	9·50
Krakowa	7·25	9·45	—	8·40*	2·31*
Rzeszowa	—	—	1·10	—	—
Podwołoczysk . . .	7·20	12·00	2·16*	5·40	10·30
Czerniowiec	8·05	—	2·25*	—	9·00
Czerniowiec	—	—	3·35	—	12·20*
Stanisławowa . . .	5·55	—	—	—	—
Kołomyi	—	10·05	—	—	—
Stryja	7·29	11·50	3·51	—	10·50
Pustomyt	7·29	11·50	3·51	9·40F	10·50
Sambora	8·00	10·30	1·55	—	9·20
Lubienia	8·00	10·30	1·55	9·20	11·50†
Rawy ruskiej	7·10	12·40	4·50	—	—
Janowa	8·22	1·15	5·00	9·25	10·10†
Brzuchowic	7·10	12·40	1·46†	4·50	8·20
Brzuchowic	10·05†	—	3·25	5·30	9·35§
Zimnej wody	5·50	7·25	1·10	5·25	9·50
ZE LWOWA odchodzą do	**rano**	**p. poł.**	**po poł.**	**wiecz.**	**noc**
Krakowa	3·45	8·25*	2·45*	7·05*	11·00
Krakowa	—	8·40	6·15	7·20	12·45*
Rzeszowa	—	—	4·05	—	—
Podwołoczysk . . .	6·20	10·45	2·17*	7·00	11·15
Czerniowiec	6·10	9·20	1·55*	—	10·40
Czerniowiec	—	—	—	—	2·51*
Stanisławowa	—	—	--	5·50	—
Kołomyi	—	—	2·35	—	—
Stryja	7·30	—	2·26	6·25	11·30
Pustomyt	7·30	10·45F	2·26	6·25	10·30
Sambora	6·00	9·05	4·30	—	10·51
Lubienia	6·00	9·05	2·10†	4·30	10·51
Rawy ruskiej	6·12	11·05	—	7·10	11·35†
Janowa	6·58	9·15	1·35†	3·35	6·30
Brzuchowic	6·12	11·05	2·28	5·45	8·34§
Brzuchowic	9·05†	12·41†	3·45	7·10	11·35†
Zimnej wody	3·45	8·40	4·05	7·20	11·00

Uwaga. Pociągi pospieszne są oznaczone *. -- Kursujące tylko w niedzielę i święta † -- w niedzielę i święta od $^{26}/_{9}$ do $^{15}/_{9}$ literą F -- w niedzielę i święta, a od $^{1}/_{6}$ do $^{31}/_{8}$ codzień §

ODPOWIEDZIALNY REDAKTOR: STANISŁAW BRANDOWSKI. WYDAWCA: STANISŁAW TOKARSKI. WŁASNOŚĆ SPÓŁKI NIEJAWNEJ.
Z DRUKARNI »GOŃCA POLSKIEGO«, TOKARSKI & BRANDOWSKI, POD ZARZĄDEM KAROLA DOROSZYŃSKIEGO.